

SZKICE

JACEK BRECZKO

(Białystok)

MIĘDZY WARCHOLSTWEM A KLIENTELIZMEM.  
POLSKIE OBCIĄŻENIA

Tekst ten będzie świadomie przerysowany; wręcz „groteskowy”, albowiem rzeczywistość – którą będzie opisywał – jest groteskowa. W takim zaś przypadku groteska okazuje się niekiedy bardziej realistyczna, niż drobiazgowo analizy socjologiczne lub „chodzenie z lustrem po trotuarach”. Tym niemniej zacznę od socjologii. Wedle badań TNS OBOP 76 procent Polaków uznało (w roku 2010) demokrację za najlepszy ustrój polityczny, natomiast zdecydowana większość (około 90%) fatalnie oceniła polityków, czyli – jak to zostało ujęte w podsumowaniu ankiety – „źle oceniła postawę ważnych uczestników życia publicznego”. Można się zastanawiać, czy nie jest to niekonsekwencja a nawet sprzeczność. Ankietowani bowiem zdają się myśleć: demokracja zdecydowanie „tak”, demokratyczni politycy zdecydowanie „nie”. Nie jest to jednak niekonsekwencja. Można bowiem akceptować system polityczny i surowo oceniać poziom „klasy politycznej” i to właśnie czynią Polacy<sup>1</sup>.

Można dopatrywać się tutaj innej jeszcze niekonsekwencji; politycy wszak zostali wybrani przez to właśnie społeczeństwo; są więc niejako jego emanacją. Czy możliwe jest, aby piękny naród wybrał (wyemanował z siebie) szpetną klasę polityczną? A zatem krytyczna ocena demokratycznych polityków (wybranych przez lud) powinna łączyć się – jeśli mamy być konsekwentni – z samokrytyką

---

<sup>1</sup> Sondaż TNS OBOP zrealizowano w dniach 7–10 października 2010 r. na ogólnopolskiej, losowej, reprezentatywnej próbie 1000 mieszkańców Polski w wieku 15 i więcej lat. Poparcie dla demokracji jest być może w tym sondażu „przeszacowane”, poprawność polityczna nakazuje bowiem demokrację chwalić, tym niemniej nawet gdyby realne poparcie było o kilka procent niższe, nie zmienia to faktu, że większość badanych demokrację popiera.

ludu; zdecydowana większość ankietowanych powinna mieć zatem fatalną opinię o sobie samych (a to wydaje się mało prawdopodobne). Jednak chyba i tym razem to tylko pozorna niekonsekwencja; w istocie, może być tak, że nie całkiem szpetne społeczeństwo wyłania – w ramach gry demokratycznej – szpetną klasę polityczną. Nierzadko bowiem w sferze społecznej pojawiają się pewne „mechanizmy”, które wymykają się kontroli jednostek i powodują rodzaj lawiny, której wynik może być zaskakujący. W tym przypadku został uruchomiony proces, którego zwieńczeniem stał się ten oto fenomen, że obiektywnie nieszpety naród wyłonił z siebie obiektywnie szpetną klasę polityczną; inaczej mówiąc, dobrzy („nieźli”) ludzie wybrali – w serii demokratycznych wyborów – złych ludzi. Skoro zatem pomiędzy wyborców i wybieranych wkraśl się – używając XIX-wiecznych terminów – „alienacyjny mechanizm”, niska ocena stawiana politykom, nie musi równać się niskiej ocenie stawianej całej społeczności. W tekście tym chciałbym przyjrzeć się bliżej temu procesowi, chciałbym – innymi słowy – uchwycić niektóre przynajmniej przyczyny niskiej jakości polskiej klasy politycznej. Badałem już ten problem w innych tekstach, wskazując na „logikę funkcjonowania” mass mediów, w których gorszy przekaz wypiera lepszy przekaz, co powoduje – ujmując rzecz w wielkim skrócie – że gorszy polityk wypiera lepszego polityka; tym razem jednak chciałbym zwrócić się ku przeszłości, poszukując przyczyn zawartych w polskiej historii.

\* \* \*

Zacznę od wygłoszenia niemodnego poglądu; wierzę mianowicie w istnienie charakteru narodowego, a nawet – mówiąc jeszcze bardziej staroświecko – w „ducha narodu”<sup>2</sup>. Jaki jest polski charakter narodowy? Trudno być sędzią we własnej sprawie, trudno oceniać samego siebie, zdajmy się zatem na opinię zewnętrzną. Czesław Miłosz cytuje opinię pewnego amerykańskiego intelektualisty, który – kiedy po raz pierwszy odwiedził Polskę, kraj swoich przodków – zauważył, że w żadnym innym kraju nie spotkał takiej liczby diabłów i tak dużej liczby aniołów. Miłosz zaś dodaje: „Diabły w Polsce są bardziej niż gdzie indziej bezbarwne, nędzne, podstępnie plugawe; anioły bardziej jasne blaskiem czystej miłości bliźniego. Niestety we wszystkich dziedzinach życia w Polsce występuje ta dwoistość. To, co wyższe, niewiele ma wspólnego z tym, co niższe – w obyczajach, w literaturze, w sztuce. Podczas kiedy wyższe dziwi wysokim poziomem wyrafinowania,

---

<sup>2</sup> Nie sądzę jednak, aby – jak wierzyli romantycy – był on czymś stałym i od Boga danym, czyli że narody wraz z ich charakterami są „kreatcjami bożej”. Mówiąc w wielkim skrócie, charakter narodowy jest zapewne mieszkanką cech dziedzicznych (naród bowiem wywodzi się nie tylko etymologicznie od rodu) oraz zanurzenia w specyficznej kulturze i doświadczeniach historycznych.

niższe zaskakuje swoim prymitywizmem i wulgarnością”<sup>3</sup>. Można by mnożyć przykłady; przychodzą mi do głowy dwa szczególnie wyraziste: od strony moralnej, Irena Sendlerowa i szmalcownicy; od strony kultury, muzyka Szymanowskiego, Góreckiego, Kilara, Panufnika i tak zwana muzyka disco-polo („polo” nie od koszulki, ale od polskości).

Kiedy już mamy w pamięci ten kontrast, możemy dodać kolejną cegiełkę do naszego rozumowania. Otóż jest chyba prawidłem ogólnoludzkim – chociaż w Polsce szczególnie widocznym ze względu na burzliwość dziejów – że w okresach klęsk, nieszczęść, katastrof, mówiąc ogólnie w okresach „historycznej bessy”, ludzie tchórzliwi, chciwi i samolubni unikają zaangażowania w sferę publiczną (chyba że jako zdrajcy, kolaboranci). Kiedy mianowicie trzeba się poświęcić dla sprawy, zaryzykować osobiste powodzenie *pro publico bono* (jakkolwiek pojęte), cwaniacy i egoiści usuwają się w cień, milkną, przysuwają się do tylnych szeregów. W takich momentach w sferę publiczną (polityczną) częściej angażują się ludzie odważni, szlachetni, ideowi (owe „anioły jasne”); są zresztą nierzadko odosobnieni i nieliczni<sup>4</sup>. Rzec można, że „prawdziwych polityków poznaje się w biedzie” (prawdziwych, czyli mających na względzie dobro publiczne). Odwrotnie w okresach stabilizacji i powodzenia; w okresach „historycznej hossy”. Wtedy w politykę, w sferę publiczną, chętnie angażują się ludzie mający niską, egoistyczną motywację, dążący – w różnych proporcjach – do władzy, sławy i pieniędzy; ludzie pragnący „załapać się na sukces”. Nawiązując do kolejnego ludowego powiedzenia – że mianowicie „oliwa na wierzch wypływa” – można by to ogólnoludzkie prawidło sformułować w sposób następujący: w klęskach dziejowych w polityce „szlachetność na wierzch wypływa”, w czasach stabilizacji i *prosperity* „szumowina na wierzch wypływa”. Nakładając to na specyfikę polskiego charakteru narodo-owego (anioły i diabły), zauważyć należy, że to dzięki niezwykłym zaletom owych osobników szlachetnych udało się Polakom przetrwać momenty licznych katastrof („zadziwiająco żywotny naród, który... swoje cnoty objawia jedynie w okolicznościach, które każdą inną ludzką zbiorowość zgmiotłyby i zniszczyły”<sup>5</sup>), natomiast w okresach spokojniejszych do polskiej polityki szeroką ławą, z wielkim impe-

<sup>3</sup> Cz. Miłosz, *Polskie kontrasty*, Kraków 1995, s. 20–21.

<sup>4</sup> Wyrzyskim zapisem takiego poczucia odosobnienia, kiedy trzeba było poświęcić się sprawie, jest tekst pieśni „My pierwsza brygada”. Niezależnie od oceny późniejszej ewolucji obozu piłsudczykowskiego, to w tamtych – opisywanych przez tę pieśń – okolicznościach wykuwał się etos i charakter najlepszej części elity politycznej okresu międzywojennego. *Mówili żeśmy stumanieni/ Nie wierząc w to że chcieć to móc!/ Leliśmy krew osamotnieni/ (...) Inaczej się dziś zapatrują/ I trafić chcą do naszych dusz,/ I mówią, że nas już szanują/ (...) Nie chcemy dziś od was uznania,/ Ni waszych mów, ni waszych łez./ Skończyły się dni kołatania/ Do waszych serc, do waszych kies.* Ten ostatni wers ma również inną wersję: *Skończyły się dni kołatania/ Do waszych serc, jebał was pies!*

<sup>5</sup> Cz. Miłosz, *Historia literatury polskiej*, Kraków 1993, s. 5.

tem, wkraczają owe „diabły nędzne, plugawe”. Ludzie podli i tchórzliwi stają się nagle odważni i hałaśliwi, przypisują sobie wielkie zasługi; scena polityczna zaludnia się rewolucjonistami (ostatniej godziny) oraz „ojcami zwycięstwa”; zaludnia się również cudotwórcami posiadającymi proste i zawsze niezawodne recepty na wszelkie społeczne i gospodarcze dolegliwości. Prawdziwie zasłużeni rewolucjoniści (nierządco oskarżani, pomawiani, postępowani, wyszydzeni) oraz prawdziwi fachowcy (wykpiwani i niesłuchani), czują się w tym towarzystwie coraz bardziej nieswojo i odsuwają się w cień. Nie powinno to zresztą dziwić, bo siłą rzeczy, im bardziej „szumowina na wierzch wypływa”, tym bardziej szlachetność opada na dno. Powtórzmy i podkreślmy; w polskiej polityce, w okresach stabilizacji, w okresach historycznej hossy, z wielką ekspansywnością – co jest związane z „polaryzacją charakteru narodowego” – wkracza na scenę polityczną to gorsze, to lepsze zaś ze sceny tej znika.

\* \* \*

Spróbujmy teraz rozważyć, jakie są specyficzne cechy tej gorszej strony polskości; czyli tych polskich „diabłów nędznych i plugawych”. Również i tym razem zdajmy się na relację z zewnątrz. Będzie to karykatura, w znacznej mierze krzywdząca, mająca jednak pewne cechy podobieństwa do oryginału. Fiodor Dostojewski nie lubił Polaków; badacze jego twórczości podają różne przyczyny związane z religią, filozofią i polityką<sup>6</sup>. Pomijają jednak zwykle przenikliwość psychologiczną Dostojewskiego. Wydaje się, że trafnie podpatrzył i opisał dwie cechy „owego gorszego” Polaka (tak zwanego „Polaczka”); jest on pyszałkiem, pozerem, rezonerem wobec równych i słabszych (nierządco też oszustem, „fałszywym hrabią”) oraz jest służalczy, uniżony wobec silniejszych. Mówiąc obrazowo: z jednej strony puszy się

<sup>6</sup> Podkreślają, między innymi, miłość Dostojewskiego do caratu, którego nieprzejednanymi wrogami byli polscy powstańcy (poznał ich na zesłaniu). Podkreślają też jego miłość do wschodniego chrześcijaństwa i niechęć do katolicyzmu, którego granicznymi przedstawicielami byli Polacy. Irytowało go też dobre moralne samopoczucie współwzięniów Polaków, niewinnie – w swoim mniemaniu – skrzywdzonych i poniżonych. To dobre samopoczucie „na dzień”, kłóciło się z jego przekonaniem, że grzech pierwotny rozlewa się na całą ludzkość, a zatem nie ma niewinnie skrzywdzonych. Zauważmy na marginesie, że religijny światopogląd Dostojewskiego jest wysoce wyrafinowanym przejawem zderzenia „ducha rosyjskiego” z „duchem polskim”. Ten ostatni zawiera w sobie przekonanie o przychylności świata („polska zacność”), duch rosyjski zaś przekonanie o brutalnym pęknięciu, dualistycznym rozdarciu; takim oto, że świat został wydzierzawiony diabłu. Pojawia się wtedy fatalizm, poczucie, że nie da się uniknąć poruszania po diabelskich torowiskach; że należy współczuć biedakom i skrzywdzonym oraz tęsknić do dobra, ale w praktyce zachować bezlitosność i twardość, albowiem i tak nic nie da się zrobić, aż do momentu, kiedy przyjdzie ponownie Mesjasz i „wszystko wyprostuje”; czyli skończy się czas diabelskiej dzierzawy. Dostojewskiego dodatkowo być może irytowało, że w rysach swoich dostrzegał podobieństwo do owych wrogów najgorszych a nie do ruskich chłopów, z którymi na katordze się solidaryzował. Zabijał więc z pasją w sobie Polaka, aby tym bardziej być prawosławnym Rusinem.

i nadyma, z drugiej podlizuje. Otóż te dwie strony, te dwie twarze odpowiadają – jak sądzę – dwóm istotnym przywarom, które można odnaleźć w polskim charakterze narodowym: mianowicie skłonności do warcholstwa i klientelizmu. Jakie są korzenie historyczne tych przywar? Wydaje się, że należy się ich doszukiwać w klasie średniej szlachty i obozu egzekucyjnego na początku XVII wieku. Wtedy to zdecydowaną przewagę w polskim życiu politycznym i gospodarczym zdobyła magnateria, wprowadzając piramidalny system powiązań i zależności rodowych. Apogeum tego systemu to wiek XVIII, czasy saskie i kultura sarmacka. Zacytujmy Jędrzeja Kitowicza, aby wprowadzić w „klimat epoki” i pokazać – w sposób możliwie krótki i barwny – jak wyglądały relacje między panami i dworzanami (czyli drobniejszą szlachtą); przy czym należy pamiętać, że były to relacje wielopiętrowe i Pan mógł być w młodości dworzaninem większego Pana, a tamten jeszcze większego.

Dworzanin respektowy [w przeciwieństwie do płatnego; J.B.] nie brał żadnych zasług prócz furazu na konie i strawnego na jednego człowieka lub dwóch ludzi. Pospolicie takowi dworzanie bywali synowie majątnych obywateli, oddani do dworu dla poluru i swego czasu dla promocji do urzędów ziemiańskich tudzież funkcji poselskich, deputackich i skarbowych, jakimi są: superintendencje i pisarstwa celne bogatych komór; nareszcie dla złapania jakiego starostwa od króla JMci za promocją pana. (...) Przyjmując do służby bądź dworzanina, bądź dworskiego, każdy pan uważał najprzód kształt osoby, potem porządku, z których sądzono o statku; przymiotów doświadczano w czasie służby. Kogo natura udarowała urodą, kształtem i miną dobrą, choć bez talentów, które zwyczajnie na wierszchu nie siedzą, ten prędko wszędzie, gdzie się udał, znajdował służbę. Jeżeli zaś nie miał lepszej zalety, tylko urodę i minę, niewiele estymowany, przesłużywszy rok, przenosił się od dworu do dworu. Talenta dworzanina były: roztropność, obyczajność co do przystojności, zręczność w wykonywaniu rozkazów pańskich i umiejętność robienia dobrze szablą, gdzie tej bądź w interesie pańskim, bądź w swoim zażyć potrzeba było. (...) Zasłużonych dworzan dobrze panowie promowali do fortuny, puszczając im wsię w dzierżawę niskim kontraktem albo też bez kontraktu, do wiernych rąk, albo dożywociem bez opłaty, albo dobrym ożenieniem. Choć tedy dworzanie małą w samej rzeczy brali płacą, wspierani jednak tymi sposobami od panów, którym służyli, przychodzili do znacznej substancji i stawali się słusznymi obywatelami, ale za to na sejmikach, na sejmach, na trybunałach musieli żarliwie stawać przy interesach swoich pryncypałów, jakiekolwiek one były, bądź słuszne, bądź niesłuszne (podkr. J.B.)<sup>7</sup>.

---

<sup>7</sup> J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1951 (Ossolineum), s. 420, 421, 425.

Taki typ zależności sprzyjał formowaniu się pewnych postaw, sprzyjał mianowicie służalczości i uniżoności wobec Pana (należało „czapkować” i trzymać się jego klamki) oraz warcholeniu w jego służbie. Opłacało się tedy schlebiać „do wewnątrz” i warcholić „na zewnątrz”. Szlachcic puszył się i warcholił w karczmach, na trybunałach, sejmikach i sejmach w imieniu – w interesie i ku chwale – Pana, będąc niczym barwne piórko w jego, pańskim, pawim ogonie; a im kompanija była głośniejsza i bardziej bitna, tym ten ogon barwniejszy i większy. Takie zachowania z pokolenia na pokolenie były promowane i „weszły w krew”; weszły, innymi słowy, w „kulturowy krwiobieg”.

Zróbmy teraz eksperyment myślowy i wyobraźmy sobie, jak wyglądałoby budowanie od podstaw systemu partyjnego (w demokracji przedstawicielskiej) w społeczności złożonej z ludzi o opisanych wyżej cechach, czyli o skłonnościach warcholskich, klienckich oraz posiadaczy mieszanki tych skłonności (czyli „obrotowych” kliento-warchołów). Wydaje się, że można stworzyć prawdopodobny model formowania się takiego systemu, który składałby się z trzyetapowego cyklu: rozdrobnienia, konsolidacji i „zamurowania” w systemie dualnym. Początek to etap dominacji warcholenia; każdy warchoł myśli sobie, że będzie wielkim przywódcą, że głoszone przez niego poglądy staną się narodowym dekalogiem, a jego partyjka partią masową i rządzącą. Warchoły na tym etapie są nieprzejednane, czupurne, hałaśliwe, skłonne do kłótni, podziałów, nieskłonne do kompromisów (słowo „kompromis” łączy górnolotnie ze zdradą ideałów). Scena polityczna staje się coraz bardziej skłócona i rozdrobniona (mnożą się kaskadowe rozłamy w starych partiach oraz powstają nowe partyjki o coraz bardziej osobliwych nazwach i programach); parlament składa się z ogromnej liczby partii zawierających tylko chwilowe sojusze; rządy powstają i upadają w błyskawicznym tempie. Proces rozdrobnienia postępuje aż do granic chaosu; w wariacie skrajnym każdy poseł jest przywódcą odrębnej partyjki (członkami zaś owych partyjek byłiby równomiernie rozmieszczeni charakterologiczni klienci). W ten sposób etap warcholenia natyka się na „barierę wzrostu”, już bardziej rozdrobnić się nie da. Pojawia się też świadomość złudności marzeń o byciu przywódcą narodu oraz poczucie zagubienia i bezsensu. Wtedy nadchodzi czas charakterologicznego klientelizmu; wahadło – w tym dziejowym mechanizmie – rusza w przeciwną stronę. Niedawne warchoły rozglądają się za panami; są skłonni podłączyć się pod jakiś większy strumień polityczny, zrezygnować z wyłączności na rzecz przetrwania. Mamy tutaj zresztą dwa warianty postaw. Zwykle warchoły (warchoły obrotowe) uruchamiają swoją drugą stronę (twarz kliencką) i zaczynają poszukiwanie patrona, natomiast warchoły nieprzejednane albo stają na szczycie piramidy zwierzchności, stają się nad-patronami, czyli przywódcami partii, albo „wypadają z gry” i trafiają na margines życia politycznego (najbardziej wyraziści mogą pełnić – skądinąd ważną w demokracji – rolę pozapartyjnych *opinion leaders*). W ten sposób zaczyna się

etap konsolidacji sceny politycznej; momentem przełomowym (katalizatorem konsolidacji) może być zmiana ordynacji wyborczej (na przykład dodanie proggu do proporcjonalnej albo przejście od proporcjonalnej do większościowej), może też nim być zamach stanu. Etap konsolidacji kończy się wytworzeniem dwóch wielkich partii. Zaczyna się w ten sposób etap trzeci, etap budowania i cementowania systemu dualnego. Owe dwie partie, zderzając się ze sobą, „zwierają szeregi”, stają się coraz bardziej sztywne i scentralizowane, w każdej pojawia się ścisła piramida zależności klienckich; stają się partiami wodzowskimi, na czele których stają dwa – ostatecznie zwycięskie – warchoły nieprzejednane (nie muszą być zresztą podobni; jeden może, na przykład, przypominać Fredrowskiego Cześnika Raptusiewicza, drugi zaś Rejenta Milczka).

Potwierdzeniem trafności tego modelu wydają się dzieje polskiego parlamentaryzmu. Zwińczeniem wielowiekowej ewolucji politycznej i ustrojowej I Rzeczypospolitej było wyłonienie się dwóch bloków, dwóch wielkich magnackich koterii; pod przewodnictwem Czartoryskich i Potockich. Stronnictwa te nie tylko wypełniły całą scenę polityczną, ale też skutecznie się wzajem blokowały, posługując się między innymi posłusznymi warchołami. Jeszcze wyraźniej opisany wyżej schemat i mechanizm uwidacznia się w parlamentaryzmie II Rzeczypospolitej. Pierwszy Sejm – wybrany w roku 1919 – był rozdrobniony, skonfliktowany, zasłynął nie tylko rękoczynami, ale też pieniactwem oraz niekończącymi się dyskusjami. Wielu jednak posłów to byli ideowi działacze niepodległościowi, którzy zaangażowali się w sprawy publiczne jeszcze w czasach historycznej bessy, dlatego może Sejm ten wykonał kolosalną pracę, tworząc fundamenty ustrojowe młodego państwa. Już jednak jego historia wskazuje na postępujące rozdrobnienie; na początku składał się on z 9 podmiotów (partii, klubów), pod koniec kadencji już z 17. kolejny Sejm (I Kadencji) składał się z 14 podmiotów. Z Sejmem tym wiąże się, przypominajmy, najtragiczniejsze chyba wydarzenie w dziejach polskiej demokracji, jaką były publiczne – ale w Sejmie zapoczątkowane – ekscesy wokół osoby prezydenta Gabriela Narutowicza. Był znieważany, obrzucany kamieniami, śniegiem i błotem, a wreszcie zastrzelony przez fanatycznego przeciwnika. Piłsudski – którego śmierć Narutowicza odmieniła wewnętrznie i zniechęciła do demokracji – nazwał ten Sejm, w swoim dosadnym języku, „Sejmem korupcji”. Od Piłsudskiego pochodzi też impuls konsolidacyjny (zamach majowy). Efekt konsolidacji jest podwójnie dualny; polska scena polityczna pod koniec lat trzydziestych dzieli się na dwa wielkie obozy: na obóz realnej władzy (sanacyjny) i na obóz władzy moralnej (endecja z Romanem Dmowskim na czele). Co więcej, obóz sanacyjny dzieli się na dwie koterie: na grupę skupioną wokół prezydenta Mościckiego („Zamek”) oraz wokół marszałka Rydza-Śmigłego („GISZ”).

W PRL, przy systemie w istocie mono-partyjnym, w okresie stabilizacji (sprzyjającym angażowaniu się w politykę ludzi o niskich motywacjach) wytwo-

rzyły się w partii dwie wielkie koterie powiązane więzami klienckimi, mianowicie „partyzanci”, z patronem Mieczysławem Moczarem („kto nie z Miecciem, tego zmieciami”) oraz „grupa katowicka” z patronem Edwardem Gierkiem. Zwycięstwo Gierka pociągnęło za sobą, co zrozumiałe, awans – na wszystkich szczeblach hierarchii partyjnej i rządowej – jego klientów i klientów jego klientów.

Dzieje III RP są wręcz doskonałą egzemplifikacją powyższego modelu. Sejm kontraktowy – owiany jeszcze aurą ideowości – tworzy (podobnie jak przedwojenny Sejm Ustawodawczy) fundamenty ustrojowe. Sejm pierwszej kadencji to etap radykalnego rozdrobnienia (do Sejmu wchodzi 24 ugrupowania). Do polityki zaś zaczynają garnąć się „nowi ludzie”, dostrzegający w niej szansę na błyskotliwą karierę. Ustanowienie progę wyborczego w wyborach do Sejmu drugiej kadencji zaczyna etap powolnej konsolidacji (przy czym prawica wcześniej się rozdrobniła i wcześniej zaczęła etap konsolidacji, lewica później uległa dezintegracji, później zatem nastąpił etap konsolidacji). Charakterystycznym wydarzeniem na styku etapu dezintegracji i konsolidacji było powstanie i rozpad tak zwanego Konwentu św. Katarzyny. Od mniej więcej 2005 roku można obserwować przejście do etapu trzeciego, to znaczy tworzenia wyrazistego podziału dualnego. W ciągu ostatnich lat powstał dwubiegunowy układ, powodujący z jednej strony „zamrożenie sceny politycznej”, z drugiej strony proces centralizacji w obydwu dominujących partiach, które zaczęły przybierać kształt wodzowski, a w tle koteryjno-kliencki. Zanika w nich otwarta debata polityczna (tak zwana „demokracja wewnątrzpartyjna”), osoby niezgadające się z wodzem-patronem – próbujące zachować intelektualną i aksjologiczną samodzielność – są odsuwane, degradowane, a nawet wykluczane z partii. Pewien popularny politolog wyraził to w obrazowej formule, że owi dwaj super-patroni „ukradli partie”<sup>8</sup>. Partie te zastygły w swoistym klincku, czyniąc z lęku przed zwycięstwem przeciwnika główną rację swojego istnienia; wyborcy głosują zatem w znacznie mierze nie na partię X, ale przeciwko partii Y (i *vice versa*). A skoro w systemie dualnym jedyną poważną alternatywą jest kont-partia, wybór jest oczywisty. Chcąc – innymi słowy – zagrozić drogę do władzy partii X, należy głosować na partię Y. System ten jest dodatkowo wzmacniany, utrwalany, petryfikowany przez sposób finansowania partii politycznych. Za głosami idą pieniądze, a pieniądze na medialnym rynku politycznym odgrywają rolę znaczącą, jeśli nie decydującą.

Obserwując zwanie owych dwóch dominujących partii, można dostrzec coraz częściej pojawiający się typ pyszałka i warchoła działającego w służbie wodza-pa-

---

<sup>8</sup> Politolog ten to Marek Migalski. Jego przypadek jest zresztą charakterystyczny; jako tak zwany „niezależny ekspert” przyczynił się do wzmocnienia pozycji patrona i otrzymał od niego za to „promocję do funkcji poselskich i skarbowych”, na koniec – jakby to pewnie ujął Jędrzej Kitowicz – w pysze swojej próbował pouczać Pana, a przez to zbesztany został i z partii wyrzucony.



trona. Występują oni w mediach i uprawiają „harce słowne”. Zanika poważna debata publiczna; walkę na argumenty zastępują połączanki, przerzucanie się epitetami oraz mniej lub bardziej błyskotliwymi hasłami. Krótko mówiąc, erystyka (chęć, aby moje było na wierzchu), wypiera dialektykę (czyli, tak zwaną, „merytoryczną” dyskusję)<sup>9</sup>. Harcownicy używają ostrych, wyrazistych sformułowań (wykutyh zapewne wcześniej w partyjnej kuźni pijarowskiej); logika owych warcholich pojedynków wymaga wzmacniania przekazu, co prowadzi do brutalizacji języka polityki; przeciwnik jest zawsze czarny, podły, zdradziecki, a jego poglądy, zamiary i czyny są „porażające” (ostatnio to słówko, wyśmiane, zaczyna zanikać). Prowadzi to do narastania czegoś, co język angielski oddaje jako *hate speech*. Językiem tym harcownicy zarażają opinię publiczną; ludzie zaczynają przez pryzmat tego języka myśleć o polityce i politykach. Staropolski sens słowa „polityczny” (będący połączeniem grzeczności, dyplomatyczności i inteligencji) zaczyna być wypierany przez sens nowy: „polityczny” równa się „brutalny i cyniczny”. Wypieranie dialektyki przez erystykę związane jest też z cynicznym poglądem na sens polityki; polityka to sztuka zdobycia i utrzymania władzy; władza nie jest środkiem, aby czynić jakieś wyższe dobro, ale celem samym w sobie (a raczej środkiem do powodzenia osobistego). Skoro nie idzie o nic więcej jak o władzę, to nie ma o czym dyskutować; wykluczony jest poważny i merytoryczny spór o owo dobro, które miałyby być środkami politycznymi wprowadzane. Do zdobycia i utrzymania władzy zdecydowanie lepiej nadają się – od nudnych dyskusji o celach strategicznych i ideałach – erystyczne, medialne harce. A to pole do popisu dla intelektualnych warcholów.

I tak oto niespodziewanie obudziliśmy się, po ponad dwudziestu latach demokracji – zaczynając od kilkudziesięciu skłóconych partyjek działających w społeczeństwie względnie jednolitym – w systemie (prawie) dwupartyjnym, w tle którego występuje podzielone, nieufne, skonfliktowane społeczeństwo.

---

<sup>9</sup> Oto przykłady takich sformułowań zebranych z ostatnich dwóch tygodni („zacieram” tutaj „przynależność partyjną”, wszystkie jednak pochodzą od harcowników z obydwu dominujących partii): „To obłeśny rechot”, „Głupio brać udział w obchodach z X i Y”, „Sieją polityczny ferment”, „Nie zdołali nawet podnieść rękawicy”, „Być zaatakowanym przez X i Y to cymesik”, „Oni to maminsynki. Przyszłość należy do nas”, „Puścili, przy tej okazji, małego bączka”, „X wił się jak przysłowiowy piskorz”, „Y jednym ruchem obrzucił błotem św. Pamięci Prezydenta i ją również oblał pomyjami”, „X lubi podkreślać, że się ze mną różni, co czasami bywa wkurzające”, „Y jest utkany ze strachu, kombinuje jak koń pod górę”, „Rządy X-sów to rządy patałachów”. Trudno – wsłuchując się w tę poetykę – nie odnieść wrażenia, że wybitni politycy obydwu partii przypominają dwie „bandy dzieciaków”, przekrzykujące się pod trzepakiem. Trudno też nie pomyśleć o szwedzkim kanclerzu, Axelu Oxenstierna, który napisał w liście do potomka: „Synu, gdybyś ty wiedział, jak małą mądrością świat jest rządzony”.

## Wnioski

Pierwszy. Warchoł jest zazwyczaj skłonny do klientelizmu; to druga część jego natury. Dlatego też budowa koterii (klik, sitw) zawiera w sobie warchoła jako element budulcowy, jako główny ludzki „zwornik systemu”, to znaczy taki „element obrotowy”, który puszy się i warcholi w dół (wobec słabszych, ustawionych niżej w hierarchii) i w bok (wobec członków innych koterii) i zarazem jest usłużny, kliencki wobec stojących wyżej w hierarchii. Sądziłem, że owo odkrycie „podwójnego oblicza warchoła” – który przypomina w tym trochę przepołowionego Świętowita – jest moim unikalnym wkładem w antropologię polityki. Zapoznając się jednak z literaturą dotyczącą warchołów, warcholstwa i warcholenia natknąłem się na tekst profesora Kazimierza Dąbrowskiego, w którym jest owa podwójność charakterologiczna (warcholo-kliencka) dobitnie i klarownie opisana. Pozwolę sobie zacytować fragmenty (przyznając profesorowi palmę pierwszeństwa):

(...)

13. Warchoł nigdy nie ma dążeń uporządkowanych, zhierarchizowanych. Kieruje się zawsze tam, gdzie widzi swój interes i interes kliki.

14. Dla warchoła nie istnieje stałość dążeń rozwojowych. Za to zawsze istnieje klika, to znaczy grupa ludzi, mogąca chwilowo z nim współdziałać poza hierarchią wartości, poza hierarchią celów, poza dobrem publicznym.

15. Działanie warchoła wydaje się czasem jak produkcja iskier, ale po dłuższej obserwacji okazuje się, że jest to tylko dym bez ognia i to nie tylko bez ognia, ale i bez iskier. Dym natomiast jest tutaj zjawiskiem trwałym. (...)

26. Warchoł jest najgorszą przeszkodą w autentycznej pracy społecznej. Zawsze będzie stawiał swoje interesy wyżej od dobra innego człowieka i od dobra grupy społecznej. Zawsze będzie szukał towarzystwa i poparcia tych, którzy aktualnie się liczą i dysponują siłą. Samą swoją postawą, podobnie jak i zabiegami, działa demoralizująco i destrukcyjnie.

27. Szukanie łatwizn i okazji przypodobania się możliwym. Utrącanie i niszczenie słabych. Poniżanie i wyśmiewanie słabszych. Zabiegi o znalezienie się jak najbliższej z tymi, którzy są silni i ważni. Strzeż się takich ludzi i takich sytuacji. Są one ważną przeszkodą w rozwoju zdrowia psychicznego i moralności społecznej<sup>10</sup>.

Wniosek drugi. Profesor Dąbrowski pisze, że warchoły robią dym; ja bym dodał, że sieją wiatr i zbierają burzę, że konfliktują społeczeństwo, dzielą je i wzmacniają przez to władzę i wpływy (*divide et impera*). Nie idzie tutaj o sielanek społeczeństwa jednolitego, czy o „wolę powszechną” wedle Rousseau; sądzę jednak, że obok „partii interesu” – realizujących świadomie i otwarcie interesy po-

<sup>10</sup> K. Dąbrowski, *Wprowadzenie do higieny psychicznej*, Warszawa 1979, s. 266–268.

szczególnej części społeczeństwa („Partia Emerytów”, „Partia Kobiet”, „Partia Ślązaków”, „Partia Robotników”) – powinny istnieć partie ogólnospołeczne (ogólnonarodowe) próbujące – poprzez pryzmat różnych koncepcji gospodarczych, ustrojowych i ideowych (etycznych) – harmonizować owe różne interesy; wzmacniać więzi społeczne, być rzecznikami jedności w tej wielości. Próbuje zatem jak najdalej odejść od polskiej skłóconej, zawistnej, „donosicielskiej”, nieufnej, podejrzliwej, rzecz można, Hobbesowskiej. Słowem świętym w takim podejściu jest słowo „kompromis” i związane z nim poszukiwanie konsensusu, gotowość do wzajemnych ustępstw. Przeciwnieństwem zaś jest sarmackie i warcholskie nastawienie pieniackie: „Po moim trupie!”. Warto odnotować, że nasi przodkowie z epoki przed-sarmackiej słynęli nie tyle z bitności, ile właśnie z umiejętności negocjacyjnych, z umiejętności zawierania kompromisów. „Polacy – pisze Jerzy Stempowski – mieli się mylnie za wojowników, posiadając natomiast rzadki i nie doceniony geniusz mediatorów”<sup>11</sup>.

Wniosek trzeci. Zamrożony (zaklinowany, zamurowany, spetryfikowany) system dwupartyjny nie sprzyja demokracji. I nie idzie tutaj o prostą matematyczną zależność, że musi być więcej niż dwie partie, aby demokracja sprawnie funkcjonowała. Są kraje, gdzie owa dwójka dobrze się sprawdza (Wielka Brytania, USA). Należy jednak wziąć pod uwagę specyfikę lokalną; zaryzykować można uogólnienie, że system dwupartyjny nie sprzyja demokracji, kiedy mamy do czynienia z dwiema partiami „wodzowskimi” (gdzie nie ma dyskusji wewnętrznych) oraz ze słabo rozwiniętym społeczeństwem obywatelskim. W takim przypadku w sferze społecznej nie ma miejsca, nie ma forum (agory), na której mogłaby się odbywać poważna debata polityczna (wymiana myśli o politycznej taktyce, strategii, ideologii i etyce). Nie ma takiego miejsca, powtórzmy, ani wewnątrz tych partii, ani między nimi (bo tutaj dominuje erystyczny pijar), ani poza nimi, ze względu na płytką warstwę społeczeństwa obywatelskiego (ludzie nie interesują się sferą publiczną; zajmują się głównie – dodajmy jeszcze jedną karykaturę – „wiązaniami końca z końcem” oraz serialami i teleturniejami w TV). W takiej sytuacji myślenie polityczne zamiera (czy też nie może się rozwinąć)<sup>12</sup>. Przeważa perspektywa krótkoterminowa i szczegółowa; kto lepiej rozegra dane medialnie wydarzenie (jakąś katastrofę, aferę, skandal, itp.). Sztaby fachowców skoncentrowane na takich potyczkach analizują z wielką czujnością drgnięcia słupek sondażowych. Jest to, rzecz można, zrozumiałe i logiczne; powstaje wzajemnie dopełniający się system. W systemie kliencko-wodzowskim dominuje – powtórzmy – pojmowanie

<sup>11</sup> J. Stempowski, *Klimat życia, klimat literatury*, Warszawa 1988, s. 201.

<sup>12</sup> Zamierają również zasadnicze poszukiwania filozoficzne, ideowe, światopoglądowe. Pozostaje tradycja, religia oraz konsumeryzm rozlewający się szeroko poprzez kulturę masową. W takim *polis* nie ma agory, jest tylko świątynia i hipermarket.

polityki jako sztuki zdobycia i utrzymania władzy, a nie jako środka, aby zrobić coś dobrego. Patron zatem czuje się odpowiedzialny wobec klientów, jest bowiem z nimi związany w sposób „symbiotyczny” (on ich popiera, ale i oni jego, a ta symbioza oparta jest na posiadaniu władzy bądź na dążeniu do władzy), nie czuje się natomiast odpowiedzialny wobec społeczeństwa, które jawi się jako „masa do zmanipulowania”. To zaś wzmacnia ową „doraźną łataninę”, brak wizji dalekośiężnych, brak koniecznych (i zwykle bolesnych) reform; krótko mówiąc, na scenie politycznej występują partyjni wodzowie, „gracze”, ale nie ma na niej mężów stanu. Polakom – twierdził Jerzy Giedroyc – można powiedzieć bolesną prawdę, ale patron nie chce ryzykować.

### Summary

This paper is an attempt to analyze the evolution of the Polish political scene and the Polish political class with reference to certain features of the Polish “national character” and the historical heritage connected with the oligarchic political system of the end-stage Nobles’ Commonwealth. I argue that in a society composed of people who display propensity for factiousness and clientelism, the political scene evolves in a three-stage cycle: fragmentation, consolidation, and fixing on the level of a dual system (two centralized “leader parties”), which hampers the development of a civil society and makes it difficult to hold any serious political debate.

### Bibliografia

- K. Dąbrowski, *Wprowadzenie do higieny psychicznej*, Warszawa 1979.  
J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1951.  
Cz. Miłosz, *Historia literatury polskiej*, Kraków 1993.  
Cz. Miłosz, *Polskie kontrasty*, Kraków 1995.  
J. Stempowski, *Klimat życia, klimat literatury*, Warszawa 1988.
- 

dr hab. Jacek Breczko, Studium Filozofii i Psychologii, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku